

BEATA
OSTROWICKA

WYĆSIĘ,
CHCE



Beata Ostrowicka

Wyć się chce

© by Beata Ostrowicka

© by Wydawnictwo Literatura

Okładka:

Elżbieta Chojna

Korekta i skład:

Lidia Kowalczyk, Joanna Pijewska

Wydanie I

w Wydawnictwie Literatura

ISBN 978-83-7672-638-0

Wydawnictwo Literatura, Łódź 2018

91-334 Łódź, ul. Srebrna 41

handlowy@wydawnictwoliteratura.pl

tel. (42) 630 23 81

www.wydawnictwo**literatura**.pl

ROZDZIAŁ 1

Szłam do Marleny.

Miałam kolejnego doła. Po awanturze z matką o to, że powinnam posprzątać w kuchni, bo to przecież żadna filozofia. Wystarczyło włączyć zmywarkę, poukładać na stole i zamieść podłogę, ewentualnie przelecieć mopem. Moje tłumaczenie, że wróciłam kilkanaście minut przed matką, w ogóle do niej nie docierało. Powinnam to zrobić i już.

Za mną była już ponad połowa Błoń, psia kupa, w którą udało mi się wdepnąć prawym butem, coraz mniej wściekłości i coraz więcej smutku, że to kolejna – a nie ostatnia – awantura.

Nieostatnie nazwanie mnie „kretynką”.

Nieostatnie retoryczne pytanie: „Rozumu nie masz?”

Wrócę wieczorem, ja i matka będziemy udawać, że wszystko jest w najlepszym porządku, a potem – wcześniej czy później – znowu zacznie się na mnie wydzierać.

– Musiałam wyjść z tego cholernego domu – mruknęłam, ledwo Marlena otworzyła mi drzwi.

– Dziesięć groszy – powiedziała.

Jasnowłosa, wysoka, z uduchowioną twarzą. Nadal opalona po wakacjach w Egipcie. Ostatnio ubierała się wyłącznie na czarno. I zaczęła się malować. W efekcie wyglądała rewelacyjnie. Też bym tak chciała. Ale z moją drobną budową i zwykłą twarzą musiałabym wcześniej zainwestować w operacje pla-

styczne. Nie wszystko bym zmieniła. Oczywiście zostawiłabym na pewno, ale ogólnie naciągnęłabym się na długosć.

– Mogę od razu dać złotówkę. – Skrzywiłam się. – Mam potrzebę przeklinania.

– Co się stało?

– To, co zawsze. – Wzruszyłam ramionami. Czyli nie ma nic konkretnego do opowiedzenia, a wyc się chce. – Chwilę posiedzę, co?

– Siedź, ile chcesz. – Powtórzyła mój gest. – Jesteśmy same. Starzy w galerii z Młodym. Próbują mu kupić jakieś spodnie i koszule, ale to raczej przegrana sprawa, bo Młody jest za gruby na swój wiek.

– Super. Nie mam dziś siły na ludzi.

Jej rodzina kupowała ciuchy z taką częstotliwością, jak moja masło. Jej rodzina, czyli rodzice i młodszy brat Adrian, tęgi, powolny dziewięciolatek, którego nie można było nigdy niczym zdenerwować.

Beżowo-białym holem dotarłyśmy do pokoju Marleny. Tak naprawdę, to były dwa pokoje połączone przesuwaną ścianką. Jeden do życia, drugi do spania. Ten do życia miał żółte, wesołe ściany, drugi – zgaszone, szarozielone. Stało w nim zajefajne łóżko z Ikei, takie z metalowymi ściankami, stolik ze szklanym blatem i antyczna biblioteczka.

Ta biblioteczka działała na mnie wybitnie przynębiająco. Marlena przetrzymywała w niej tony swoich zeszytów, kartek, karteczek z wierszami, opowiadaniem, fragmentami powieści i rysunkami.

Ja z artystycznych rzeczy potrafiłam zrobić kolczyki, bransoletki, wisiorki, ładnie poukładać na kromce ser, wędlinę, plasterki pomidora, ogórka i posypać to artystycznie pietruszką. Jeśli akurat była w domu.

– A co u ciebie? – spytałam, siadając w jednym z foteli, które stały w żółtym pokoju. Miała ich cztery. Każdy, jak to się mówi, z innej parafii. Najstarszy był zielony, z racji wieku już mocno podniszczony. Pamiątka rodzinna. Moim faworytem był bambusowy, przywieszony do sufitu. Mogłam się w nim godzinami delikatnie kołysać. I nawet nie miałam wtedy tej swojej okropnej choroby lokomocyjnej. Był jeszcze skórzany, tak zwany „klubowy”, którego nie lubiłam, i nijaki szary, przykryty kwiecistą narzutą.

Marlena przycupnęła na oparciu zielonego uszaka, na którym wedle rodzinnego przekazu siadywał sam Witkacy, gdy odwiedzał babkę ciotki albo ciotkę babki. Nie pamiętałam dokładnie. Marlena wierzyła w dobre fluidy w nim zakłęte.

– A dobrze, zaraz ci powiem. Na razie obowiązek.

Podeszła do biblioteczki i zdjęła z półki szklany słoik. Brudnosłówka. U mnie w pokoju stał drugi taki sam. U każdej z nas wypełniony był drobnymi mniej więcej w jednej trzeciej. Umówiliśmy się, że jeśli drobnicy zbierze się jeszcze więcej, to zrobimy krótkie rozpoznanie w pobliskich sklepach i tam, gdzie przy kasie będzie siedziała panna z najdłuższymi tipsami, poprosimy o zamienienie drobnych na grubsze.

Odkręciła zakrętkę i podstawiła mi słoję pod nos.

– Wrzucaj.

– Cholera, cholera, cholera – mruknełam i wrzuciłam złotówkę. – Reszty nie trzeba, na pewno dziś ją wykorzystam. Mów.

– Stara mnie dziś wzięła na rozmowę. – Odstawiła słoik na miejsce.

– Widać taki dziś... rozmowny dzień – burknełam i zaczęłam drapać palcami plamę na kolanie spodni. Chyba zaschnięty ketchup. – O czym ta rozmowa? O ocenach? Że możesz się lepiej uczyć? Że mogłaś przelecieć mopem?

– Jakim znowu mopem? – Popatrzyła na mnie ze zdziwieniem.

– Nieważne. Tak mi się coś przypomniało. To o czym sobie pogadałyście?

– Dobrze, że siedzisz, bobyś się przewróciła, jak usłyszysz.

– Zaśmiała się.

– Zamiast liceum proponują ci gastronomik. – Bujnęłam się raz i drugi. – Będziesz realizować się jako kucharka. Albo coś tam takiego, że potem jesteś fryzjerką.

– Julka, a tobie co się dziś stało? Coś cię ugryzło? – Zerknęła na mnie kpiąco. – Zupełnie inne klimaty. Stara chciała spytać, czy może wyrwać się ze starym na trzy dni i czy przez ten czas przejmę opiekę nad Młodym. Przy pomocy ciotek, babci i zaprzyjaźnionej pani Iwonki.

– A dokąd się chcą wyrwać?

– Bąkała coś o Wenecji, zabytkach, galeriach, ale podejrzewam, że po prostu do pokoju hotelowego z dużym łóżkiem.

Niby ludzka sprawa, ale jakoś poczułam się niezręcznie. Seks i rodzice? Seks i moi rodzice? No, tego to już w ogóle nie chciałam sobie wyobrazić. Ale przecież muszą to robić. Bosz! Kiedy? Jak? Czy ja jestem wtedy w domu?

Przymknęłam oczy i znowu się bujnęłam. Wspaniałe uczucie. Kurczę, kupię sobie taki sam. Wywalę z pokoju tę niby-biblioteczkę, której nigdy nie lubiłam, i tam zmieszczę wisielca.

I tak fruwałam pod sufitem, nad puchatym dywanem. Zastanawiałam się, jak bym urządziła swój pokój, gdybym miała tyle kasy, ile Marlena.

Podobny fruwały fotel, ale zielony. Podobny puchaty dywan.

Inne łóżko. Zdecydowanie mniej metalowe, bardziej przytulne.

Biurko takie samo.

Takie same zasłony i takie same żaluzje w kremowe serduszka.

Taka sama fryzura...

Przy kolejnym bujnięciu coś zrozumiałam.

Z naszej dwójki Marlena była tą fajniejszą.

Ta świadomość wcale mi nie przeszkadzała.

Byłam szczęśliwa, że ktoś taki jak ona zaprzyjaźnił się z kimś takim jak ja.

* * *

Ile można siedzieć komuś na głowie? Nawet jeśli ten ktoś był jedyną przyjaciółką? I nawet jeśli namawiał do zostania, bo to *no problem*. Normalnie bym została. Zjadła kolację, którą by mnie poczęstowano, chwilę pogadała z mamą Marleny. Normalnie.

Ale dziś nie było normalnie.

Jakoś to bujanie pootwierało mi fragmenty mózgu, których wcześniej nie używałam. Bo gdy Marlena pisała, ja się bujałam i zastanawiałam nad ostatnią awanturą.

I rozumiałam coś – mama i ja nie możemy się porozumieć nie dlatego, że gadamy w różnych językach. To norma, bo mało niby trąbi się wszędzie o różnicy pokoleń, konfliktach w rodzinie? Problem w tym, że działałam na własną matkę wybitnie wkurzająco. Tyle wymyśliłam.

Dzisiaj, kiedy wypluta dotarłam do domu po sześciu lekcjach, dwóch godzinach kółka biologicznego, niewyspana, bo wczoraj siedziałam do północy, kończąc ten idiotyczny projekt o transformatorach na technikę, nie sądziłam, że pierwsze, co od niej usłyszę, to bezsensowne pretensje.

Próbowałam jej tłumaczyć. Nie przyjmowała do wiadomości, że jestem w domu od niedawna, że jestem po ludzku głodna, zmęczona. Tak samo jak ona. Zupełnie jakby jej to uwłaczało, że jesteśmy obie głodne i zmęczone. Ona tak. Ona może. Ale ja powinnam być silna, zwarta i gotowa.

Powtarzała ten swój refren: „powinnaś” i „powinnaś”. Pewnie, że powinnam. Ale w innych okolicznościach. Gdyby nie było kółka, na przykład. I gdyby ona, po powrocie do domu, zastała ten nieszczęsny bałagan, a mnie przy kompie. Wtedy miałyby prawo się pluć. Ale tak? Mogła najzwyczajniej w świecie, jak polecają wszystkie te mądre gazety, wykazać zainteresowanie moimi sprawami. „Jak tam w szkole, córeczko? Jakies oceny? A ten referat? Co za niego dostałaś?”

Miała to wszystko wypłakać Marlenie?

I jeszcze dodać, że mnie ta sprawa bardzo zaboląła?

Więc nic jej nie powiedziałam. Pogadałyśmy o niczym, położyłyśmy po necie. A potem się zmyłam. Wykorzystałam moment, kiedy jej rodzina wróciła z zakupów, bo zrobiło się zamieszanie („Dziewczynki, zaraz zrobię kolację”, „Marlena, patrz, jakie mam odjechane adidas i pasek. Mama mi kupiła”), i powiedziałam, że idę do domu.

Nie zamierzałam wracać. Przynajmniej nie teraz. Chciałam zrobić jeszcze jedną rzecz. Wymyśliłam to, gdy oglądałyśmy filmiki na YouTubie. To znaczy, wymyśliłam to już dawno temu, ale dopiero teraz podjęłam decyzję.

Postanowiłam iść na Klonową.

Tam mieszkał Kamil. Dzisiaj bardzo chciałam być blisko niego. Choćby blisko jego domu, ogródka.

Adres dostałam parę tygodni temu od Izy, którą znałam jeszcze z podstawówki, a teraz miałam z nią kontakt na GG. O Kamilu zgadałyśmy się przez przypadek.

Ode mnie z kaptura do Klonowej było ze dwadzieścia minut, od Marleny – ponad pół godziny. Nie miałam siły na spacerowanie, a przede wszystkim zaczynało mi brakować czasu, więc postanowiłam podjechać autobusem. Nie czekałam długo. Prawie od razu przyjechało 173. Kilka przystanków w stronę Mydlnik. Wiedziałam, gdzie wysiąść, dokąd iść. Palcem po mapie Krakowa wędrowałam już z tysiąc razy – teraz szłam naprawdę.

Gdy tylko wysiadłam z autobusu, serce podeszło mi do gardła i tam zostało. A co, gdybyśmy teraz się spotkali? Powiedziałyby „cześć”? Powiedziałyby, gdyby mnie kojarzył z budy, a w to szczerze wątpiałam.

Małe skrzyżowanie, uliczka między bliźniakami, ni z gruszki, ni z pietruszki pojedynczy, żółto-beżowy wieżowiec, znowu szereg domków jednorodzinnych. Ulica Klonowa. Trzeci z prawej to dom Kamila. Zakotwiczyłam po drugiej stronie uliczki, między jakimiś strzępiastymi krzakami. Mnie nie było zza nich za bardzo widać, za to dom miałam jak na dłoni.

Minęło parę minut. Nic się nie wydarzyło, jeśli nie liczyć mrówek, które zaczęły łązić mi po stopach. Naraz otworzyły się drzwi wejściowe. Ktoś wyszedł. O mało nie umarłam ze strachu. Nie, niech to nie będzie Kamil. Niech mnie nie zobaczy. Jeszcze sobie pomyśli (w sumie słusznie), że wyczekuję przed jego domem.

To był jakiś mężczyzna z psem. Facet jak facet – taki chudy, z dużym nosem i szpakowatymi włosami, pies typu wyżeł, podsikujący każde drzewo. „Fąfel, nie szarp. Do nogi!”

Gdy znikli z horyzontu, wylazłam z krzaków. Uznałam misję za zakończoną. Z pozytywnym wynikiem.

W końcu byłam bogatsza o poznanie Fąfla.